Niezależna Telewizja Vis á Vis:

fot: B. Kucharek, W. Morek

numer 9 (133), Kraków, wrzesień 2019

fot. B. Kucharek

Witaj szkoło...

grafika: B. Zimowski

Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (87)

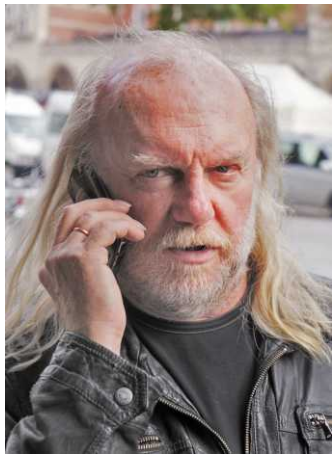

fot: B. Zimowski

TARCZA

Przedmiot kojarzony bardziej ze słynnymi bitwami, z których można było na nim wrócić w wypadku przegranej, albo z dumą po zwycięstwie przytargać do domu. Ze szkolnym obowiązkiem w pewnym okresie czasu miał jednak także wiele wspólnego.
Tyle tylko że nie wymagano od nas rycerskich atrybutów jeno prozaicznego emblematu na rękawie. Niebieski oznaczał ucznia podstawówki, czerwony nosili licealiści i zgłębiający wiedzę w technikach. Swoją tarczę licealną zacząłem doceniać gdy pod nią pojawiała się coraz większa ilość „winkli" czyli rzymskich piątek oznaczających kolejne klasy. W jedenastej już czuliśmy się weteranami szkoły, chociaż jej nazwa na ramieniu utrudniała wagarowanie. Kontrolowani przez ciało pedagogiczne uciekaliśmy się do rozmaitych wybiegów przypinając kłopotliwe wyróżnienie szpilkami, bądź mocując na gumce by rzecz całą łatwo demontować.
Dziś o szkolnych tarczach przypominają mi wizyty na zakopiańskim starym cmentarzu na Pęksowym Brzyzku, gdzie pochowano wśród wielu wybitnych rodaków Kornela Makuszyńskiego. Wdzięczna za „Szatana z siódmej klasy", za „Awanturę o Basię", za „Przygody Koziołka Matołka" dziatwa zostawia na grobie pisarza dowód swojej obecności pod Tatrami ale także dowód przynależności do świata tablicy, kredy, teraz pewnie komputera, do świata za którym kiedyś przyjdzie jej tęsknić.

Jan Nowicki

fot. B. Kucharek

JESTEŚMY

Jesteś miły
W słońcu, ptakach.
Czerwcem jesteś
W polnych makach.

Jesteś wiosną,
Latem, zimą.
Czasem, który
Był - bo minął.

Jesteś dzisiaj!
Będziesz jutro!
Zobacz - przyszłam!
Przytul - zrób to.

Jesteś prawdą.
Jesteś mitem.
Parną nocą,
Tuż przed świtem.

Jak ten motyl,
zmieniasz w dotyk,
Czułe szepty.
Lotne ręce.

Potrąć skrzydłem - albo więcej:
Skalecz wargi, bo bez skargi
Wiem już - jak znieczulać ból
Jestem twoja! Jesteś mój!

Tul w ramionach - albo więcej:
Weź na zawsze głupie serce.
Przedzieliłeś je na... pół
Jestem twoja! Jesteś mój!

Uprzejmie informujemy, że wybitny przedstawiciel kościoła i nasz przyjaciel ksiądz Adam Boniecki, ukończył niedawno 85 lat. Dostojnemu Jubilatowi życzymy dużo zdrowia i dalszych sukcesów, w swojej działalności duszpasterskiej i dziennikarskiej.

Redakcja

Jacek Kleyff

fot: B. Kucharek

Telewizja 1972

Telewizja pokazała a uczeni podchwycili,

iż jednemu psu, gdzieś w Azji, można przyszyć łeb od świni
Wykrył pies bimbrownie na czas, wycinanki robi wujek,
jak smarować margaryną, telewizja transmituje.

Łodiridi - dla młodzieży, w Skierniewicach dwie kotłownie,
jak gonili hitlerowca, to mu opadały spodnie.

W telewizji czterej znawcy, od nawozów i od świata,
orzekają, co się zdarzy, w Gwatemali za trzy lata.

Masy pracujące stracą, gdy realna płaca spadnie.

Gwatemala nie dostrzega, iż elita władzy kradnie.

Stal się leje, moc truchleje, na kombajnie chłop się szkoli
na dodatek wygrać może końcówkę od banderoli.

W telewizji pokazali wczoraj kości chudych dzieci,
zastrzelonych gdzieś w Angoli, pokazali świeże groby.

Świeże groby zawsze wzruszą, niezależnie gdzie kopane,
jak porosną wyjdzie na jaw, kto szczuł i co było grane.

Uśśsia - siuśśsia Cepeliada, w ogródeczku panna Mania,
Chmurka się przejęzyczyła, jaja nie do wytrzymania.

W telewizji transmitują dzisiaj wyrok na montera,
za kradzież czterech tysięcy - cztery lata, pięć miesięcy.
Patrzy prawy obywatel, dzień po dniu, za dniem godzina
a z nim razem na kanapie relaksuje się rodzina,
z telewizji jego matka, z gazet dzieci do zrobienia,
żona jakby wzięta z radia, a on cały z obwieszczenia.

Z telewizji twoja matka, z gazet dzieci do zrobienia,
żona jakby wzięta z radia a ty cały z obwieszczenia

Jerzy Antkowiak

fot. B. Kucharek

Felieton sentymentalny

...tak to bywa z sentymentami. Jedni powiadają, że to co było odeszło, nie warto majstrować przy starych dekoracjach, myślmy o przyszłości, nie oglądajmy się za siebie. Myślę dokładnie odwrotnie, w sprawach poważnych, czyli „wagi ciężkiej" i tak lekkiej jak potyczki z nowinkami mody, zaglądam wyłącznie w wypłowiałe stare żurnale, wypłowiałe wycinki prasowe i wiem, przypominam, porównuję. To prawda - odeszło, ale i daje do myślenia, bo to co było, jakie by nie było, jest constansem, zaś to co nadciąga to samo przyjdzie, będzie oczywiście sterowane, manipulowane, ulepszane i tak dalej, aż do samego końca. Z powodu wakacyjnych wariactw pogodowych i nieustającego „en tarda la siesta" grzebię w starych piśmidłach i znajduje takie ciekawostki, że mogę śmiało powtórzyć słynne powiedzenie: PIĘKNIE TO JUŻ BYŁO. W starych żurnalach opasłych albumach jest tyle pięknej mody i tej z zamaszystym rozmachem i tej równie pięknie ascetycznej, że sam sobie zadaje pytanie typu samobój dla czynnego projektanta, czy naprawdę trzeba coś jeszcze projektować. Znalazłem album sprzed czterdziestu lat Louis Feraud - lata osiemdziesiąte, widziałem wielokrotnie i oklaskiwałem te kolekcje w słynnym Pavilion Gabriel, to po prostu samo piękno, ciekawe czy który z młodych nowych bogów mody może znać takie nazwisko? Znam odpowiedź, nie zna, ale bądźmy łaskawi, rozumki młodych gniewnych śpią spokojnie w smartfonach i innych patefonach, tak, tak to bywa z sentymentami - od mody do teatru! Cóż to był za niezwykły spektakl w Teatrze na Woli „GDY ROZUM ŚPI", sztuka o GOYI z Łomnickim i Korsakówną, przypomniało mi się nagle przy „rozumkach", że jeśli rozum jest tam gdzie być powinien, a nie w fetyszach, to nie śpi.

Dobrze jest, tradycyjnie ulżyłem sobie, ale teraz spójrzmy wstecz. Znalazłem mój felietonik sierpniowy sprzed dwudziestu lat pod tytułem SIERPNIOWE WIELORYBY, pisywałem wtedy do „Burdy", co sobie bardzo ceniłem. Ceniły też je sobie moje czytelniczki, czego dowody mam do dzisiaj albo od moich rówieśniczek, albo od ich wnuczek mówiących tak „a moja babcia ma w szafie płaszczyk, żakiet i „milanówek" z mody polskiej, i pana felietony z „Burdy". Tak jest, tak było i minęło, ale gdybym nie otaczał się różnymi starociami, poczynając od starej maszyny do pisania na której powstaje ten felietonik, przez tysiące szpargałów wszelakich, nie znalazł bym dzisiejszego tekstu. Proszę uważnie przeczytać to nie do wiary, że przed dwudziestu laty pisałem tak, jak bym pisał to teraz w lipcu 2019 do sierpniowego „GŁOSU PRUSZKOWA" 2019.

P.S.

Prosiłem Redaktora Kalinowskiego o zamieszczenie kopii tego starego, ale aktualnego felietonu, bowiem nie ma tam błędów, tak jak i w moim maszynopisie, one się pojawiają, kiedy elektronika mnie przepisuje i daje wyraźnie sygnały, że ma modne ostatnio „zdanie odrębne" na temat mojej polszczyzny. Proszę tam gdzie błąd czytać bezbłędnie, czyli tak jak każe rozsądek.

Tekst artykułu Jerzego Antkowiaka, opublikowany w sierpniowym numerze 2000 roku czasopisma BURDA - przyp. redakcji.

Sierpniowe wieloryby

To nie jest, proszę miłych Pań (i Panów, Panów również), żadna aluzja. To prawda, że ciągle obfite brzuszki i bioderka, na widok których Rubens cmokałby z lubością, są ozdobą naszych plaż. A także nie naszych, gdzie właśnie nasi leżą coraz częściej i coraz gęściej. Ale bądźmy sprawiedliwi, ciency (normalne ludzkie sylwetki) leżą i pląsają tu i tam, więc nie jest ten sierpniowy wieloryb żadnym prztyczkiem. Jest wspomnieniem pięknej łagodności, pogody ducha, zgody na odmienność, a nawet uroku płynącego z pogodnej rezygnacji...

Tak, tak - „Sierpniowe wieloryby" to tytuł filmu z Bette Davis i Lilian Gish, który telewizja od czasu do czasu pokazuje. Telewizja, która robi tak wiele i z takim zapałem, aby lansować najgorsze gusty, czasem pokazuje piękne, stare kino - najczęściej zresztą o pierwszej w nocy, kiedy kochankowie kiepskich produkcji kina akcji i przemocy śpią. Miało być bez aluzji i łagodnie, więc chwała wulkanom intelektu w TV, że znajdują coś ambitnego na nocne seanse.

Piękne staruszki wspominają młodość, są raz łagodne, raz cierpkie, pełne nostalgii, pomysłów i kochają modę. Jakież słodkie kapelutki, szale, mitenki i - najmodniejsze obecnie - autentyczne suknie sprzed 100 lat. Panie mają odmienne poglądy na życie, przeszłość i przyszłość, a w sobie tak wiele tolerancji i umiejętności do wzajemnych ustępstw. Cel jest, oczywiście, jeden: żyć lepiej, godniej i pogodniej.

Kto tego w Polsce nie potrafi, Czytelnicy wiedzą... Wiemy wszyscy i prawie wszystko o rozmodlonych owieczkach i pazernych wilczkach. Słuchamy dukających niemot, patrzymy na mozół tworzenia kilku bezładnych zdań, które są programem.

Programem? Chyba kabaretu amatorskiego dla iluzjonistów, szarlatanów i naiwniaczków. Ba! Gdyby to był makiawelizm, to ta żądza władzy, posiadania, podstępu i obłudy miałaby pewną formę, oprawę i... przyzwoity przyodziewek.

No, ale wtedy trzeba by najsamprzód (prawda, że pięknie mówią na Mazowszu?) pobrać jakieś szkoły, dowiedzieć się, co znaczy zagraniczne stowo esprit oraz jak wiąże się krawat, jak się nosi dwurzędówkę, gdzie przystoi turecki sweterek, a gdzie koszulka polo. No i najtrudniejszy letni dylemat panów - czy sandały nosimy na bosą stopę, czy wbijamy się w pstrokate skarpety (najlepiej gumowe lub plastikowe), a potem w te sandałeczki!

Tyle wiedzy nie posiądzie „oddany sprawie" tytan walki o wszystko, zwłaszcza że dochodzi jeszcze ta cholerna mimika. Myli się wszystko: kiedy uśmiech, kiedy brew marszczymy. Widzimy więc, jak jest trudno być u steru, na świeczniku i salonach, „dawać twarz", dukać, tumanić, przestraszać... Zatem my, łagodne, sierpniowe, oswojone już bardzo wieloryby, patrzymy na ten teatr również z pogodną rezygnacją.

A co tam, w końcu to problem Europy - widziały gały, co brały...

Nie widziały jeszcze wszystkiego, ale zobaczą. Wszystko w swoim czasie, nie ponaglajmy losu!

Opisując ten danse macabre, chcę przypomnieć, że mamy na tzw. świecznikach ludzi mówiących piękną polszczyzną, taktownych, pełnych światowych manier. Wyglądających jak trzeba fachowców branż wszelakich - od kultury poczynając, na elitach politycznych kończąc. Tyle że - jak to z elitami, jest ich bardzo malutko. To samo w modzie! Tak, tak - w modzie noszonej, lansowanej, kopiowanej, tej z potrzeby serca i tej z potrzeby zarobku... Wszyscy my - projektujący, piszący, redagujący, organizujący konkursy, przeglądy, festiwale - o coś mądrego walczymy. Podpowiadamy, ale i przestrzegamy, szukamy młodych talentów, chcemy czasem pożenić wodę z ogniem, odróżnić piękny, twórczy, malowniczy kicz od knota, na widok którego sam „paw się ciśnie na usta", a maluczcy powiadają, że to tez kicz.

Letnia moda, nie licząc brzuszków i bioderek (wiem, wiem, jestem złośliwiec, ale łagodny jak baranek), to przecież najbardziej demokratyczny pokaz. Deptaki, plaże, szlaki turystyczne, modne kawiarnie, letnie dyskoteki, koncerty w parkach i planety małp* - czy to nie największy wybieg świata, ostatni już w tym stuleciu.

Piękny, wzruszający pokaz gustów, upodobań, fobii, kompleksów, fantazji, a nawet brawury. Drodzy Czytelnicy, opozycja w modzie - to jest dopiero coś, na co chce się patrzeć, co nie znaczy, że koniecznie nosić.

Aha! Nosić, ale jak? Na panów mam haka w temacie: sandał a skarpeta polska, paniom mam za złe: ciągle za mało kapeluszy. Ogłaszam ostatni sierpień tego stulecia miesiącem kapelusza. Piękne, duże słomy, rafie, plecione jedwabie, gipiury; szyte z bawełny lub modelowane z wyrafinowanej koronki; dzienne, plażowe, sportowe, na wyścigi, na pielgrzymkę, na zakupy, na plażę. Kapelusz nosimy zawsze głęboko na czoło, na oczy i zawsze (jak to jest z dobrą odzieżą) o jeden rozmiar za duży. Chyba że „wyciskamy" talię osy, ale to zajęcie zostawmy modelkom na wybiegu. No i puśćmy wodze fantazji.

Kto w czerniach - proszę bardzo. Pastele - jak najbardziej! Kolory latynoamerykańskie - wskazane tego lata jak nigdy. Biele - tak jest, „wiek niewinności" jest dobry na wszystkie stresy i smuteczki.

Wysokie obcasy czy niskie - oto jest pytanie... A odpowiedź - co kto lubi. Niskie, czyli płaskie - to wygoda i trochę angielskiej staroświecczyzny, wysokie - szyk, kokieteria, uwodzenie... Wysokie obcasy to coś takiego, jak wysokie loty. Na łódzkiej „Złotej Nitce", konkursie dla młodych projektantów, na najwyższych obcasach sztuki, talentu i wrażliwości „chodzi" młodziutki Jacek Gmach, student łódzkiej ASP. Brawo, Jacek! Pisałem o Tobie i Twojej kultowej ekipie, a także o mamie i tacie rok temu. Teraz odkładamy wachlarze i pióropusze i - do pracy, bo czekamy na więcej!

Niskie obcasy - to z kolei (poza wygodą obuwia) coś na kształt niskich lotów. Ponieważ na tym polu ściga się telewizja z parlamentem, a mamy być łagodni (no, po prostu sierpniowe wieloryby) - nie mówimy, nie piszemy, nie pomstujemy - milczymy z uśmiechem Konfucjusza!

** Planeta małp to w moim słowniku spęd artystów w Międzyzdrojach, choć bywają gorsze jeszcze spędy, biesiady, festiwale i inne - „kurna" - występy, więc łagodnie, i spokojnie, i z uśmiechem...*

Marek Michalak

Droga do raju cz. 25

Droga do raju – przez Filharmonię.....

fot. B. Kucharek

Podczas jednego ze spotkań w Jazzclubie „PiecArt" przy ul.Szewskiej, zetknąłem się ze wspaniałym człowiekiem, jazzmenem i wykładowcą – Leszkiem Żądło – przypominam sobie różne historie z naszego życia.

Leszek, znakomity narrator, opowiedział mi historyjkę, w której osobiście uczestniczył na początku lat sześćdziesiątych, XX wieku. Był wtedy uczniem Krakowskiej Średniej Szkoły Muzycznej, gdzie uczył się grać na klarnecie. Nadarzyła się okazja, żeby pojechać z Filharmonią Krakowską do Wiednia. On i jeszcze paru innych muzyków ze szkoły mieli wzmocnić brzmienie orkiestr w ambitnym programowo repertuarze podczas koncertu w Filharmonii Wiedeńskiej.
Koncert wypadł wspaniale. Bisy. Na następny dzień wszyscy mieli się spotkać po śniadaniu pod hotelem o umówionej godzinie, by udać się w drogę powrotną do Krakowa. Zjawili się wszyscy poza zwerbowanym młodym skrzypkiem. Czekali jakiś czas. Nie pojawił się. Dłużej nie mogli czekać i pojechali bez niego. Ostał im się jeno paszport po nim. Kilka lat później Leszek dostał się na studia muzyczne w Wiedniu. Któregoś dnia spotyka przypadkiem na ulicy tego kolegę, który nie stawił się na powrót.. Zapytany, co się stało?
Zaczął opowiadać o tym co się wtedy wydarzyło. Idąc korytarzem Filharmonii Wiedeńskiej natknął się na tablicę informacyjną, gdzie przeczytał o naborze muzyków do orkiestry.
Egzamin miał odbyć się dwa dni po ich koncercie. Postanowił się zgłosić. Pomyślał, wyzwanie losu. Pamiętajmy. Wczesne lata sześćdziesiąte. Dzień egzaminu. Chwila na rozgrzanie palców w sali wraz z innymi kandydatami. Pojawiło się zwątpienie słuchając innych, naprawdę znakomitych skrzypków. Ale co tam. Młody jestem!. Raz się żyje! Idzie na egzamin. Dostał nuty do zagrania avista. Patrzy – nuty, które zna na pamięć- Walce Straussa. Zapytał spokojnie czy może zaznaczyć niektóre miejsca ołówkiem. Które nuty którym palcem. Pozwolono.
Zagrał „jak z nut". Przyjęli go. Nie zdradził im słodkiej tajemnicy, że znał te nuty, grając codziennie podczas wakacji z zespołem ojca w Krynicy Zdroju przez szereg lat.
Chcieć to móc. Tak to Filharmonia Krakowska pomogła otworzyć mu „bramy raju".

Poza ZVIS'em:

Niedziela Nowoorleańska

fot. B. Kucharek

Lesław Pizło

O fotografii - 21

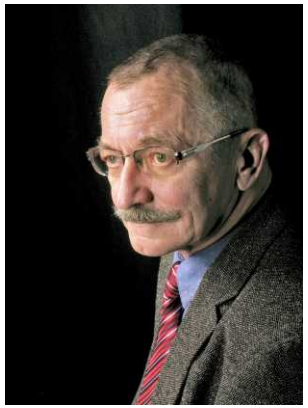

fot: B. Kańska - Bielak

Niedawno spotkałem się z oceną, mówiącą że 60-70 procent robionych obecnie zdjęć to *selfie.* Że żyjemy w kulturze *sefie.* Że jest to forma instytucjonalizacj i narcyzmu. Że robienie zdjęć samemu sobie jest wątpliwe estetycznie i tak dalej. Z całego wywodu wiało grozą, a poziom emocji piszącego wart lepszej sprawy. Sądzę, że to tylko chwilowa, trochę głupkowata moda spowodowana łatwością uzyskania takiego zdjęcia. Pomyślałem, że gdyby ten „wysiłek twórczy" skierować gdzie indziej… Na przykład w stronę zaniedbanej ostatnimi laty fotografii ulicznej (street photography) tak chętnie uprawianej w drugiej połowie zeszłego wieku przez największych mistrzów. Mniej obeznanym z tematem czytelnikom jestem winien wyjaśnienie co to jest, i czym się to je.

A zatem fotografia uliczna to niepozowane zdjęcie wykonane w przestrzeni publicznej. Owoc bujnej wyobraźni autora, niespodziewanych skojarzeń i bystrej obserwacji. Czasem wartościowy dokument socjologiczny, czasem plastyczny majstersztyk. Żelazną zasadą jest nieingerencja fotografa, który stara się być jak najmniej widoczny oraz prawda czasu i miejsca. Historyjka opowiadana przez wielkiego H. Carter - Bressona znakomicie oddaje istotę zagadnienia. Otóż będąc na jakimś arabskim targowisku w Casablance, gdzie czas zatrzymał się w średniowieczu, zobaczył w tłumie kobietę niosącą na głowie nowoczesną maszynę do pisania. Uroda sceny, kontrast cywilizacyjny i piękne tego dnia światło składało się na znakomite zdjęcie wyczerpujące wszystkie znamiona *street photo.* Z jakiegoś powodu nie udało mu się tego sfotografować. Wierny zasadom nie zaaranżował powtórnie sytuacji, tylko cierpliwie polował na takie ujęcie. Po kilkunastu latach udało się. Z drobną różnicą. Miejsce maszyny do pisania zajął komputer.

Niektóre miasta dorobiły się albumowych wydawnictw składających się z tego rodzaju zdjęć, niekiedy więcej mówiących o mieście niż te „oficjalne", składające się ze starannie wyselekcjonowanych, nienagannych technicznie obrazków przedstawiających ogólnie znane miejsca, najczęściej zabytkowe. Kraków dorobił się kilkudziesięciu lepszych lub gorszych wydawnictw, ale wśród nich tylko „Szkic do portretu miasta" K. Kurzydły i J. Pireckiego jest próbą wypełnienia tej luki. Wstyd dla tak licznego środowiska pełnego dużych nazwisk. A może środowisko jest liczne ale leniwe ? Może nie ma odbiorcy na tego rodzaju zdjęcia ?

Z pewnością nie można zarzucić lenistwa gwieździe fotografii ulicznej Vivian Maier. Krytyka fotograficzna pisze o niej jako o zjawisku fenomenalnym, niezwykłym, zdumiewającym, i t.d. w tym stylu, jakie pojawiło się w światowej fotografii. I to zupełnie niedawno. Vivian Maier urodziła się 1926 roku, żyła samotnie, pracowała jako niania, a fotografowała w wolnych chwilach z wewnętrznej potrzeby, dla przyjemności. Jak łatwo się domyślić nie miała żadnego wykształcenia w tym kierunku. Nie chwaliła się swoimi zdjęciami. Dużej części z nich nigdy nie widziała, bo pozostawiła je w formie naświetlonego

a niewywołanego negatywu. Prawdopodobnie zwyczajnie nie było jej na to stać. W 2007r. agent biura nieruchomości, niejaki John Maloof kupił na wyprzedaży za 400 dolarów walizkę zawierającą kilkadziesiąt tysięcy zdjęć i negatywów Vivian, z których spora część była niewywołana. Po wstępnym opracowaniu materiału zorientował się, że co prawda do jego celów nie będzie to przydatne, ale ma w rękach niezwykłą kolekcję fotografii ulicznej z lat 50 – 70 XX wieku, wykonanych w Chicago. Poza zwykłą w takich razach wartością historyczną i socjologiczną, zdjęcia niosą spory ładunek emocjonalny i artystyczny. Podjął zatem wysiłki zmierzające do odnalezienia autorki i udostępnienia jej prac szerszemu gronu odbiorców. Doprowadził do zorganizowania wystawy jej prac. W 2011 roku, w Chicago Cultural Center otwarto cieszącą się ogromnym uznaniem zarówno publiczności jak i oficjalnej krytyki wystawę fotografii Vivian Maier.

Vivian Maier - autoportret

Jej zdjęcia zaczęły żyć własnym życiem, zgodnie ze znanym powiedzonkiem, że fotografie żyją tylko wtedy, gdy są oglądane przez innych. Podobnie jak i inne wytwory ludzkiego talentu. Smutne w tym wszystkim jest to, że autorka tego nie doczekała. Zmarła w 2009 roku mając 83 lata. Ale zastanawiam się czy ona na to kiedykolwiek czekała, czy oczekiwała uznania. Jak napisałem wcześniej tworzyła z potrzeby ducha, dla siebie.

Jacek Roch Przybylski

Kanikuła!

Skwar na ulicach potworny,
Skwar nam się daje we znaki,
Skwar pyta o kropię wody,
Skwar i to nie byle jaki.

Upał bez krztyny cienia,
Upał jasność i słońce,
Upał, aż do omdlenia,
Upał - wszystko gorące.

Żar z nieba się leje,
Żar jak w góralskim ognisku,
Żar słońce się śmieje.
Żar, Skwar i **Upał**... w spisku?

Stefan Szlachtycz

HIPEK - cz. 4

fot. archiwum

I właśnie to słowo-protest, symboliczny wyraz odwagi napadniętego, stało się naszym programowym hasłem. Rzucamy je całemu światu, który nas otacza i nieustannie do czegoś zmusza. „Jeśli nam się ktoś narzuca, odpowiemy krótko: – BUCA!”. Wypowiadając to jednosłowne przesłanie, wskazane było wzmocnić je wyrazistym gestem, później nazwanym „gestem Kozakiewicza”.

- Całemu światu, szkole, oczywiście też…! Była jednak, prócz fonicznej ważniejsza forma manifestacji. Trwała. Należało w różnych, najmniej oczekiwanych, nawet ryzykownych miejscach potajemnie umieszczać napis: BUCA! Należało przy tym wykazać się inwencją i pomysłowością. Moim osobistym wkładem, przyjętym przez Hipka aprobującym chichotem - rzadko chwalił niewłasne pomysły - było przerabianie napisu: RUCH, na nasze hasło. Wystarczyło, przy pierwszej i ostatniej literze nazwy Przedsiębiorstwa Kolportażu, dodać dwie poziome kreski… To była - ten cały „bucyzm” - oczywiście dziecinnada, prawdziwa konspiracja u „Sobka”, opowiedziana filmem Janusza Majewskiego, była realnym dramatem, ale gdyby naszą zainteresowała się „Bezpieka”, nie byłoby tylko zabawnie... Mieliśmy szczęście, że wynalazek sprayu jeszcze się nie dokonał.

Obok tej „konspiry”, była też jawna działalność organizacyjna. Wstąpiliśmy razem do harcerstwa. Do wspomnianej „Szarej Siódemki”, szarość w nazwie pochodzi od koloru chust drużyny. Znaleźliśmy się w zastępie… „Bobrów” (w czym mieliśmy upodobnić się do tych akurat ssaków? nie wyjaśniło się). Naszym zastępowym był kolega z klasy Janek O., ksywa: „Oro”. Oro miał trzy właściwości – po przebytej w dzieciństwie krzywicy, nogi w kolanach wyginały mu się do tyłu, co krótkie spodenki ujawniały bezlitośnie; Oro był tzw. zapiewajłą, czekała go nawet kariera solisty Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”; Oro był „etatowym” wesołkiem drużyny rozbawiającym mniej wybredną publiczność na ogniskach. Nie były tozalety w guście Hipka, ale to on, omal nie wdał się w bójkę z druhem, który parodiował defekt kolan Ora. Z samym Oro popadł jednak w poważniejszy zatarg, poszło o pewną piosenkę.

Harcerstwo powojenne było - jak to komuniści nazywali - „reakcyjne”. Przejęło ideologię, nawet nie AK-owską, ale NSZ-etu. Piosenki, jakie śpiewaliśmy, ogniskowe dowcipy i cały obyczaj, były aż prowokacyjnie antykomunistyczne, los tak upolitycznionej organizacji stawał się przesądzony. „Harcerska dola radosna” miała jeszcze jedną cechę… pojęcia: tabloizacja i pop-kultura jeszcze nie miały nazwy, ale w obyczajowości harcerskiej bujnie rozkwitały. Harcerski „humor” bywał bratem koszarowego, kuzynem więźniarskiego i doprowadzał Hipka do pasji. I tak stałem się świadkiem jego wybuchu furii, kiedy Oro znów zaintonował swojego ulubionego „Chińczyka”. Dziwne było, że nasz drużynowy tolerował ten „utwór” w repertuarze ultrakatolickiej drużyny. Staszek Rybicki był wzorcowym drużynowym, cieszył się nawet przyjaźnią pewnego księdza, wikarego od św. Floriana, nazwiskiem Wojtyła… Niestety, pamiętam tekst piosenki, z paskudztwami tak bywa:

Jestem Chińczyk Po Mań Czoki,
KItaj Jaja, skośnooki,
Porcelanę do sprzedaży maam.
Jestem mały, jestem lepki,
Mam żółtaczkę od kolebki,
Tak jak mój pradziadek
Bim Bam Bo.
Z tyłu warkocz mam spleciony,
Z przodu wąskie oczka na skos,
Szaaghaj, Szaanghaj,
Pane muki, pane rade,
Lejze babę,
Aj, pociechę daj!

- Nie będę śpiewał rasistowskich tekstów! – kiedy krzyczał, głos Hipka przechodził w falset.

– Nie są rasistowskie, są śmieszne! – odszczekiwał Oro.

– To sobie „lejze babę” sam, jeśli to takie śmieszne!

– Co ty możesz wiedzieć o śmieszności?! – replikował nasz zastępowy, który miał kapitał sukcesów w rozbawianiu do łez okolicznej ludności. Przyszłość nie miała przyznać racji druhowi zastępowemu. To było na naszym pierwszym obozie letnim w Piwnicznej, w roku ’46. W rzeczywistości nie było tylko wesoło, na Podhalu działała jeszcze partyzantka „Ognia”, w nocy słychać było, wcale nie odległe strzały, nocne warty były bardziej aktem desperacji, niż odwagi. Nasza mała matura przebiegła bez większych emocji, nie było strzelaniny, jak u „Sobka”. Ja miałem jednak pewien niefart. Chociaż lubiłem łacinę (*lingua latina pulchra est!*), łacinnik nie lubił mnie; do tego stopnia, że dał mojej mamie propozycję nie do odrzucenia: - albo nie pójdę do liceum humanistycznego, albo da mi dwóję i też nie pójdę. Poszedłem do klasy matematyczno-fizycznej, oznaczonej literą „C”, razem z Rybką, Hipek poszedł do klasy „B” - humanistycznej. Rozdzielenie okazało się dosyć pozorne, dzieliła nas tylko ściana, a Hipek ujawnił się jako notoryczny wagarowicz, co wiązało go właśnie z naszą klasą. „Związek B” też zachował trwałość, nawet wzbogacił skład personalny, doszedł do nas Leszek Herdegen.

Na etapie liceum, szkoła stała się już normalna, ustabilizowana. Były nas cztery oddziały, trzy utrzymywały intensywne kontakty wzajemne, jedna wyniośle się izolowała – klasa ”BeZetów” (tak się wtedy nazywało byłych właścicieli ziemskich po reformie rolnej, chyba od: Bez Ziemi), klasa „A”, z takimi nazwiskami, jak: Potocki, Radziwiłł, Rey, Morstin, Kozłowski – przyszły minister spraw wewnętrznych - i inni. Ale też władza postawiła na czele szkoły swojego człowieka do oczyszczenia siedliska reakcji. Nowy, ideowy dyrektor Henryk Sędziwy walkę klasową nie rozpoczął od klasy „A”, dostało się Herdegenowi. Leszek został nowym uczniem klasy Hipka i natychmiast skupił na sobie całą jego uwagę. Był - przede wszystkim – dorosły, dosłownie i w przenośni, jakby nigdy nie był dzieckiem. Wysoki, przystojny, mówił głębokim basem i miał za sobą… prawdziwą przeszłość, bo już i palił i pił, nawet z kobietami miał doświadczenia, strzelał do ludzi – jako powstaniec warszawski, nawet był hitlerowskim więźniem… Zaszczycił Hipka przyjaźnią i wkupił się w nasz „Związek B” deklarując, że na mikrofonie Polskiego Radia napisał: „buca”. Zrobił to w trakcie audycji autorskiej, bo Herdegen był już uznanym poetą, drukował w gazetach, miał nawet wydany tomik! Recytował z patosem na szkolnych akademiach. - Może zostanę aktorem, - odpowiedział niedbale, pytany o swoją przyszłość.

Roman Moszkowicz - ROMANO

W tym roku mija dwadzieścia lat od śmierci Romana Moszkowicza artysty muzyka i malarza, o pseudonimie „Romano".
Postać niezwykle barwna i znana w Krakowie. Obracał się w kręgach ludzi związanych z „Piwnicą pod Baranami", „Krzysztoforami" i klubem „Pod Jaszczurami". Przyjaciel Olgi (Kory) Jackowskiej i Piotra Skrzyneckiego. Prawdziwą jego pasją było malowanie (namalował ponad 3000 obrazów, głównie za granicą) oraz komponowanie utworów muzycznych.
Przełomem w jego muzycznej karierze było stworzenie grupy „Laid Back" znanej z przeboju „Sunshine reggae". Wielkie plany na przyszłość przerwała jego przedwczesna śmierć.

Ostatnia jego wystawa pt. „Kolekcja Krakowska miała miejsce w w listopadzie 1999r. w „Piwnicy pod Baranami".
Zmarł 25 .XII. 1999r. W Krakowie.

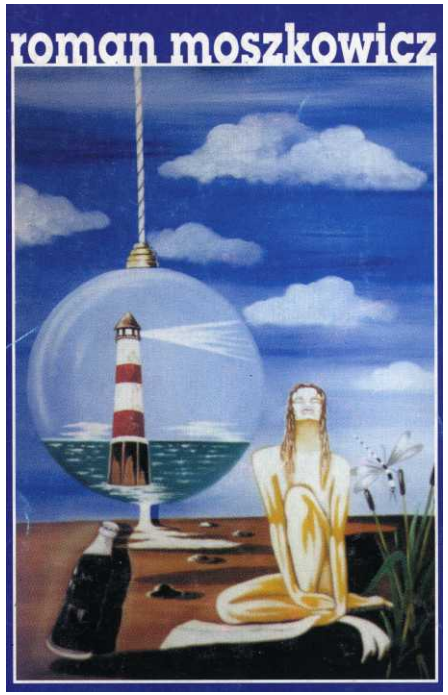

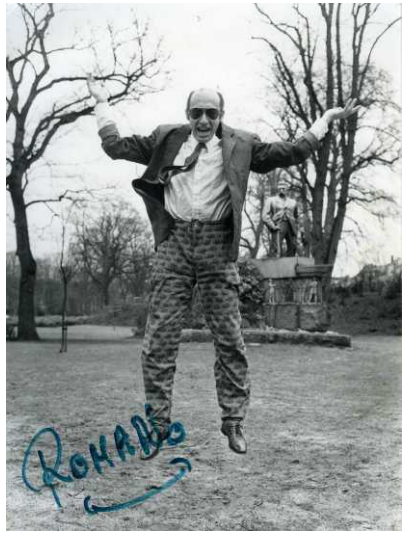

Andrzej Pacuła

Starość Jacka Kaczmarskiego

fot. B. Kucharek

w życia wędrówce dookoła czasu
ktoś patrzy na lustro i szuka w nim twarzy
ktoś w struny uderza milczącej gitary
ktoś milczy dla ludzi znów oszukanych

o śmierć mądrzejsi i głupsi o życie
każdy mur zburzą lecz zostawią kraty
i w czapkach niewidkach z napisem - wskrzesiciel
zadepcą każdego kto im nie dał wiary

zza szyby zza pyłów na oknie osiadłych
zza węgła Historii śmiejącej się w kułak
w ulicę do nikąd w mundurach z koszmarów
podrepcą w papuciach rycerze sparciali

ktoś kamień z papieru i miskę bez ryżu
z wściekłością w twarz rzuci... poety
i skrzykną się śliną zemsty stawiać mury
z okruchów rozbitej na miazgę planety

i w żywych i w cieniach ten sam skowyt bólu
pod pejczem na skórze bezbronnej
na słupach ofiarnych schną połcie słoniny
a Breughel maluje ślepców pod wozem...

Informujemy, że powyższy wiersz opublikowany w poprzednim numerze, z nieznanych nam przyczyn nie został wydrukowany w całości. W związku z tym publikujemy go jeszcze raz, i przepraszamy Czytelników oraz Autora. Redakcja.

Z cyklu: Liryka satyryka

Upadał... Ileż razy
I wznosząc z pyłu drogi
Ciało ego i urazy
Poznawał pierwsze bogi

Grzeszył... Ileż razy
Z nią z nim i z nimi
Lecz bieląc sny i zmazy
Wyznawał grzech... bogini

Zatracił... Ileż razy
Przyjaźnie i miłości
Dla sławy jawy zjawy
Modlił się do... nicości

Mądrzał... Ileż razy
Lecz nadal wierzył w głupstwo
I dech ostatni łapiąc
Tłukł o wieczności lustro...

Roman Wysogląd

„Z życia idiotów krakowskich, polskich i innych”. (cz. 3)

fot: B. Zimowski

1. Odkąd interesuję się światem (czyli prawie od zawsze) nie słyszałem o takim przypadku.

Zdesperowany (albo cwany) Afgańczyk dowiedziawszy się, iż Szwecja nie wydala starających się o azyl, którym w ojczystym kraju grozi kara śmierci, z zimną krwią zamordował bogu ducha winnego i nieznanego sobie człowieka, jakoś do Sztokholmu dotarł i z radością, i niewinnością zgłosił się do Urzędu Emigracyjnego z podaniem o azyl. Co z takim zrobić? Wysłać Talibom na pewną śmierć, sądzić tutaj według cywilizowanych (?) praw, które brutalnie zanegował, czy udzielić azylu, ułaskawić i niech sobie żyje jak setki tysięcy innych, nic nie robiąc i naigrywając się z głupiego kraju płacącego pensję za sam fakt istnienia?

2. Nie mogę już czytać powieści. Nudzą mnie jak nie przymierzając kobiety, złe filmy, wieczność, która podobno nie jest po naszej stronie. Oraz nieznane obrazy niszczące sen nie przymierzając jak kac, radość poranka.

3. Spotkałem kilka dni temu (dokładnie 16 sierpnia 2019 roku) kobietę, która wydawała mi się znajomą z dalekiego, nadwiślańskiego kraju, którego nazwa rozpoczyna się na literę P. Stałem na ruchliwej ulicy w Kopenhadze i pewnie zbyt intensywnie się w nią wpatrywałem, ponieważ podeszła do mnie i zapytała, czy przypadkiem przed laty nie chodziliśmy do wspólnej szkoły w Adelajdzie?

Jak śmieszne bywają czasami własne myśli, szczególnie w stosunku do prawdy, która przecież nie istnieje. Pod żadną postacią.

4. Przez chwilę goląc się zastanawiałem, czy przypadkiem nie zwariowałem. Od lat, przynajmniej, co dwa dni wykonuję tę czynność nudzącą mnie śmiertelnie, do tego nieprzynoszącą ani odrobiny przyjemności, lub zadowolenia. Kiedy w końcu odłożyłem maszynkę włączyłem ekspres do kawy, otworzyłem radio, sięgnąłem po gazetę.

Jestem niewolnikiem rutynowych czynności, które z taką zaciętością staram się w swoich opowiadaniach zwalczać.

I jak żyć z takim rozdwojeniem jaźni? Pewnie spokojnie, bezstresowo i godnie. Tylko, co to znaczy?

5. Zastanawiam się, po co człowiek przeprowadza się do obcego kraju, w którym nawet toalety są zawsze pachnące. To przecież wbrew naszej naturze i zdrowemu rozsądkowi.

Z drugiej jednak strony...nie, nie istnieje druga strona, a tym bardziej trzecia czy czwarta.

Że te dwa miliony Polaków, którzy uciekli (nie wyjechali, jak się to ładnie określa) pewnie nie mają podobnych do moich myśli, ani rozterek. Chcą żyć jak ludzie w XXI wieku. I mają do tego pełne prawo, może poza ględzeniem udających, iż rządzą, że w kraju spada bezrobocie. Za to na zachodzie przybywa wykształconych, młodych ludzi, którzy nad Wisłą powinni czerpać profity ze swej wiedzy i talentu, a nie w pachnących toaletach Londynu, Dublina czy Amsterdamu sprzątać zastanawiając się, czy bycie Polakiem ma jeszcze jakiekolwiek znaczenie.

Poza ZVIS’em:

GALERIA SPATiF

Elżbieta Krywsza - Fedorowicz

SCENOGRAFKA I MALARKA
1944 - 2018

Absolwentka krakowskiej ASP, uczennica profesorów Jerzego Marczyńskiego i Andrzeja Stopki. Dyplom uzyskała w roku 1970. Jako scenografka zadebiutowała w tym samym roku w Teatrze Polskim w Szczecinie. Zrealizowała ponad 120 scenografii w wielu polskich teatrach i za granicą, w krakowskiej operze, telewizji i PWST Kraków. W latach 1989 - 2009 była związana etatowo z Teatrem Ludowym w Krakowie. Jej artystyczny dorobek został pokazany na wystawie indywidualnej w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa w 2001 roku. Nagrodzona przez Prezydenta m. Krakowa odznaką Honoris Gratia z okazji 40-lecia pracy twórczej.

fot: archiwum

Henryk Cebula

GRAFIKI

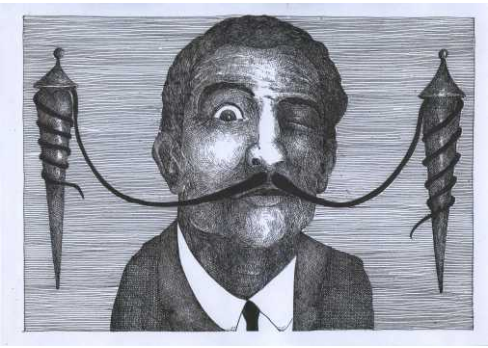

Poza ZVIS'em:

Teatr KTO - 32. ULICA

ULICA czyli Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych, jest jedną z najstarszych imprez tego typu w Europie Środkowej. Organizowany od 1988 roku przez Teatr KTO, na stałe wpisał się w letni kalendarz kulturalny Krakowa. Każdego roku na 4 dni lipca Kraków zmienia się w wielką plenerową scenę, a sztuka wychodzi poza budynki teatralne, galerie czy muzea. Przypadkowi turyści i świadomi widzowie podążają za artystami przemieszczającymi się po rynkach i ulicach Krakowa. Obserwują mistrzostwo aktorów, podziwiają niestandardowe środki wyrazu i zaskakujące scenografie. Sceną jest całe miasto, a widownia to corocznie 60 -100 tys. widzów.

fot. B. Kucharek

Galeria Vis á Vis:

Wystawa fotografii z kolekcji Teatru KTO

Jan Güntner

LESZEK - opowieść o czasie przeszłym dokonanym

Część 3

Rozkład dnia był następujący: o piątej pobudka, gimnastyka, apel i rozkaz dzienny. Słanie łóżek w namiotach i inspekcja. Śniadanie (pod wiatą) i wymarsz do pracy (5 godzin), obiad, wymarsz na ćwiczenia ogólnowojskowe (5 godzin), kolacja, czas wolny (!-głównie pisanie listów), apel wieczorny i cisza nocna od godz. 22. W niedzielę można było pojechać z Koła tramwajem do Warszawy (za darmo) by wziąć udział w pracy społecznej przy odgruzowaniu miasta w rejonie Sądów na Lesznie. Wtedy pobieraliśmy suchy prowiant - suchary twarde jak kamień, jakąś konserwę itp.
Pracowaliśmy przy robotach ziemnych, przy budowie przyszłego lotniska wojskowego dla odrzutowców. Narzędzia „przedsiębierne i zasięrzutne" były na miejscu, podobnie jak wagoniki-wywrotki na układanych przenośnych w razie potrzeby torach. Przerzucaliśmy tony ziemi z miejsca na miejsce budując pasy startowe i wyrównując teren. Plagą były drobne kradzieże - czego nie nosiłeś ze sobą w małym plecaku i chlebaku, przepadało. Na budowie zawsze dwóch pilnowało sterty plecaków. Była to praca ponad siły, przynajmniej moje. Upał dawał się we znaki, a cienia na tym pustkowiu nie było. Wiadra z płynem o nazwie „kawa" służyły do gaszenia pragnienia (brązowa lura z jakiejś „kawy" zbożowej, bez smaku). Wody nie było. Pogoda przez cały czas słoneczna, jak zdarzyła się ulewa, chowaliśmy się do przechylonych otwartych wywrotek.
W godzinach popołudniowych odbywały się ćwiczenia wojskowe na poligonie w rzadkich laskach sosnowych. Dokuczały komary, zmorą był „tor przeszkód" z czołganiem się pod drutem kolczastym i pokonywaniem przeszkód terenowych w pełnym biegu. Dwa razy było strzelanie „ostre". Kapral uczył jak dociskać kolbę karabinu do zgłębienia w ramieniu, żeby nie „kopało", ale kopało mimo to. Należało też puścić „serię" z „pepeszy". Nic ciekawego. Bardzo obawiałem się rzucania prawdziwym granatem (dwa razy). Wtedy poznałem też słowo „dekować się" zarówno w robocie, jak i w czasie ćwiczeń, bo oficjalne był wyścig pracy i przed frontem kompanii chwalono przodowników, ganiono obiboków. Rotacyjnie, całą dobę co kilkanaście dni z załadowaną ostrymi nabojami bronią pełniliśmy służbę wartowniczą rozstawieni na stałych posterunkach przy magazynach broni i amunicji, żywności i innych obiektach fortyfikacji o nieznanym dla nas przeznaczeniu.
Czas upływał szybko, zaczęto przebąkiwać o zakończeniu turnusu. Sławek powierzył mi ową „tajemnicę wojskową" i mogłem ją zaraz przekazać innym. To był sądny dzień. Najpierw pobraliśmy z magazynu worki z cywilnymi ubraniami, potem należało „zdać" plecak, chlebak, manierkę, koc, poduszkę, siennik, i buty. Drelichy wypłowiałe na słońcu wolno nam było zatrzymać; przeszły niejedno („co się wysuszy, to się wykruszy") przypinaliśmy na nich zdobyte, jak sprawności harcerskie, „medale". Z cywilnych łachów założyłem tylko buty. Dostaliśmy blankietowe bilety otwarte na „transport do miejsca przeznaczenia" zapisanego w książeczce służbowej. Zaskoczeniem był niewielki „żołd" wypłacony za trzy miesiące służby. Nie udało mi się pożegnać z Mrożkiem i z Herdegenem, musiałem zostać ze swoimi. Kompaniami i plutonami ładowaliśmy się, a ciężarówki wahadłowo zawoziły junaków na dworzec w Warszawie. Już było ciemno, gdy udało mi się złapać ostatni pociąg do Krakowa. O 5.30 już kursowały tramwaje, więc około szóstej zadzwoniłem do drzwi domu.

Revenons a nos moutons (Powróćmy do naszych baranów), jak mówi się w średniowiecznej farsie (9). Herdegen, jak już wspomniałem, podpadł w gimnazjum na dobre. Gdzieś w połowie maja 1949 wszystkie cztery jedenaste klasy przystąpiły do matury. Dyrektor, nowy, z Zakopanego, wziął Leszka „w obroty" i Herdegen... oblał. Nie było to fair, opinia uczniowska była po stronie „wójta" Leszka.
I jeszcze jedno ważne wydarzenie. W latach 1948-1950 Tadeusz Kantor współpracował z Wojewódzkim Domem Kultury Związków Zawodowych (mieścił się wtedy w Pałacu pod Baranami), i prowadził jako „instruktor zespołu recytacyjno-świetlicowego" robotniczą grupę amatorską. Wiedzieliśmy dobrze kto to jest, bo w listopadzie 1948 w Pałacu Sztuki otwarto wystawę „Nowocześni". Wielu z nas, korzystając z bezpłatnego wstępu dla uczniów chodziło na tę wystawę po wielekroć. Wydarzeniem wykraczającym poza „socrealistyczną" codzienność stała się inscenizacja poematu Pabla Nerudy „Niech się zbudzi Drwal", przygotowana przez Marię Jaremę i Tadeusza Kantora na dziedzińcu pałacu. Leszek, który już wcześniej zwrócił na siebie baczną uwagę, brał w niej udział jako główny recytator. Wrażenie było niezwykłe. Akcja toczyła się na wszystkich piętrach. Premiera odbyła się późną wiosną w1949 r. Po wakacjach był jesienny termin poprawkowy matury. Herdegen był ambitny, pracował i... znowu to samo. Oblał. W czerwcu (chyba) zdawaliśmy obaj egzamin wstępny do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Leszek wyróżniał się, zdał wyśmienicie i został przyjęty... jako wolny słuchacz, bo żeby zostać studentem, musiało być w papierach świadectwo maturalne (potem zdawał maturę skutecznie, trzeci raz). Ja również dostałem się, i byliśmy wraz z Haliną Zaczek i innymi na jednym kursie.
Chyba pora opowiedzieć o budynku „Szpitalna 40". Jeśli używam liczby mnogiej, to znaczy że włączam w relację nierozłączną parę: Leszka H. i Halinę Z., a szerzej naszą małą społeczność uczelni. Kiedy rozpoczęliśmy w 1949 naukę, była to już Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, róg ulicy Szpitalnej i Pijarskiej, dokładnie naprzeciwko Teatru Słowackiego. Tam umieścił po wojnie swoje studium aktorskie legendarny reformator teatru Juliusz Osterwa, twórca „Reduty". Uważał pracę w teatrze za szczególną misję, i posłannictwo. Kształcenie w sztuce aktorskiej miało być ściśle powiązanie z pracą w teatrze. Po przyłączeniu Studium Dramatycznego (Iwo Galla) przy Starym Teatrze, wybrano nazwę Państwowa Szkoła Dramatyczna, poprzedniczka PWST (od 1947 PWST; od 1955 im. Ludwika Solskiego). Coś z tego etosu błąkało się w tych pokojach. Nawet żartowano, że Aleksander hr. Fredro stoi na pomniku twarzą do nas, a pupą do teatru. Szkoła zajmowała całe pierwsze piętro. Obszerny hol w czasie przerw sprzyjał szybkiej integracji jako salon towarzyski, palarnia, tu odwiedzali nas goście płci obojga. W pokoiku przy klatce schodowej pomieszkiwała jeszcze p. dr Bronisława Szyfman, siostra Arnolda Szyfmana. Toaleta była w długim korytarzu (jedna!), który wiódł do szatni, sekretariatu i gabinetu dyrektora. Zacna dama z porcelanowym nocnym naczyniem dostojnie paradowała w orientalnym szlafroku do rzeczonego przybytku
Parę słów o naszych mistrzach, koleżankach i kolegach. Nasze studia (mówię o roku Leszka i moim) przypadły w latach 1949-1953 w „czasach stalinowskich". Nie my wybraliśmy „te czasy", to one nas dopadły.

---

(9) Mistrz, Piotr Pathelin (oryg.fr. La farce de maitre Pathelin).

Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr. 59

fot: N. Pazdej

Hindusi sadzili drzewka. Kiedy byłem na Światowym Kongresie PEN w Punie, również w programie było sadzenie drzewek . Każda delegacja zarazem oznaczyła swoje drzewko flagą, i napisem kiedy i kto drzewko posadził. Powstał sad PEN. Teraz w jeden dzień w ramach kampanii władz centralnych zasadzono 220 milionów drzewiek w stanie Uttarpradeś. A to dopiero początek kampanii. Władze chcą żeby jedna trzecia przestrzeni Indii była zaleśniona. Zazwyczaj Hindusi dotrzymują słowa. Za kilka lat zobaczymy, czy im się udało spełnić zadanie. Ale wracajmy na Słowację. Wakacje, urlopy ...statystyki pokazują że coraz więcej obywateli Słowacji spędza urlop na Słowacji albo w bliskich okolicach. Nareszcie informacja turystyczna jest na dobrym poziomie w różnych językach co sobie chwalą przede wszystkim cudzoziemcy. W Bratysławie ich jest coraz więcej i nie tylko na jeden dzień, kiedy wysiadają z łodzi która płynie po Dunaju do Wiednia. Małe, przestrzenią Stare miasto dorównuje w niektóre dni turystycznemu Krakowowi. Nowe restauracje, bary, piwiarnie, nie tylko słowackiej proweniencji ale właściwie z całego świata. Powstaje dużo azjatyckich restauracji – Wietnam, Chiny, Korea, Indie, Tajlandia, jak również restauracji, które poddają specjalności kuchni słowackiej. Małe browary z własną restauracją nie są wyjątkiem nawet w mniejszych miastach. Nie mówiac o winiarniach, piwnicach, specjalnych sklepach winnych. Bratysława była słynna z topowych miejsc, gdzie podawano wina zazwyczaj własnej produkcji, które nazywano *viechy.* Muzyka cygańska obowiązkowa. Oczywiście do wina pasuje dobra kuchnia. Typową viechą w centrum miasta jest *Viecha u Sedliaka*, na ulicy Obchodnej. Wspaniałe wino z Pezinka i dobre domowe jedzenie. Względnie tanio. Niestety muzyki cygańskiej nie ma, chociaż od czasu do czasu jakiś grajek tam zabłądzi. Na ulicach Bratysławy zwłaszcza na szlakach turystycznych, jest trochę grajków na różne instrumenty, koło Biblioteki Uniwersyteckiej śpiewa przepiękne arie operowe ślepy artysta. Ma duże powodzenie. Niedaleko od niego, artysta malarz sprzedaje swoje obrazy Bratysławy. Detale wspaniałych zabudowań, zakamarki miasta, bramy i historyczne budynki. Na Placu Głównym maluje świetne portrety ukraiński artysta, który mieszka na Słowacji od dawna. Tutaj również bywają koncerty różnych zespołów od muzyki poważnej poprzez jazz, operę czy operetkę, rock i „super modern musik“. Na małej przestrzeni Słowacji, jest względnie dużo zamków, grodów, kaszteli i dworków. Niedawno jedna gazeta wyróżniła 10 top słowackich zamków: Beckov, Bojnický zámok, Bratislavský hrad, Červený Kameň, Devín, Ľubovniansky hrad, Nitriansky hrad, Oravský hrad, Spišský hrad i Trenčiansky hrad. Moim ulubionym zamkiem jest Oravsky hrad w miejscowości Oravský Podzánok w pobliżu granicy z Polską na Orawie. Nowością jest że zainteresowani mogą zobaczyć historie zamku jako świat wirtualnej rzeczywistości wyświetlany w budynku plebanii. Zamek ma bogatą historie filmową. To tutaj kręcono w 1922 pierwszy horror *Upir Nosferatu* i mnóstwo dalszych filmów zwłaszcza bajek dla dzieci. Do programu należy również nocne zwiedzanie Zamku. Kiedy takie zwiedzanie w latach 60-tych

zaproponowałem szefowi i on swoim szefom, bo pracowałem jako przewodnik przez wakacje, prawie go wyrzucono z pracy i mnie również. Z Żyliny jeździ bezpośrednio do Orawskiego Podzamku ekspres i dużo osób z niego korzysta, żeby odwiedzić Zamek, ale również okolice. No cóż, zapraszam na wycieczkę po zamkach słowackich, naprawdę wspaniałe programy czekają na Państwa.

Krzysztof Janicki

Intencją pomysłodawców była wierna inscenizacja ataku wojsk tatarskich na podwawelski gród, wraz z wykonaniem legendarnego strzału z łuku, który pozbawił życia trębacza, gdy ten sygnałem swej trąbki chciał ostrzec mieszkańców przed nadciągającym zagrożeniem.

W role Tatarów wcielili się sportowcy sekcji łuczniczej jednego z krakowskich klubów sportowych. Mieszczanami byli członkowie Bractwa Kurkowego. Hejnaliści mieli za zadanie odegrać hejnał w jego pierwotnej postaci, bez słynnego urwania.

Dr hab. Wiktor Zagórny, dziekan Wydziału Historycznego UJ od lat toczący boje „o prawdę w historii”, pragnął udowodnić, iż strzał oddany z łuku zza murów obronnych Krakowa nie mógł dosięgnąć wieży kościoła Najświętszej Marii Panny.

„To będzie wspaniała lekcja poglądowa o różnicach między ludowymi podaniami a naukową wiedzą historyczną. Przy okazji będzie to prawdziwe święto, i myślę, dobra zabawa dla mieszkańców i turystów”, mówił dziekan. Dopiero czwarty hejnalista, którego z przeszytą strzałą szyją odwieziono na ostry dyżur do kliniki przy ulicy Kopernika, spowodował, że profesor przerwał inscenizację. Żadnemu z nich nie udało się dokończyć melodii. Zawiedziona publiczność usłyszała hejnał, jaki zna od lat.

„To był przypadek, zbieg okoliczności, nic więcej”, skomentował całe wydarzenie Zagórny. „Nadal twierdzę, że to jest niemożliwe. Podobnie jest z legendą mówiącą o smoku pożerającym dziewice czy też królewnie, która miałaby się jakoby topić w Wiśle. Również te bajdy wkrótce poddam weryfikacji”.

Informujemy uprzejmie, że powyższy tekst powstał w wyobraźni Autora, i nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Redakcja

fot: B. Zimowski

Andrzej Matusiak

MÓJ DAWNY KRAKÓW
MIASTO, LUDZIE, WYDARZENIA

na starej pocztówce i fotografii oraz wspomnieniach" (83)

Kościół Św. Anny w Krakowie cz. 2

Projektując ***kościół św. Anny***, niderlandczyk ***Tylman z Gameren*** (1632-1706) był już wówczas bardzo uznanym w Polsce architektem, zarówno budowli cywilnych jak i wojskowych, tworzącym dla króla ***Michała Korybuta Wiśniowieckiego*** i następnie dla ***króla Jana III Sobieskiego*** z którym był pod Wiedniem**.** Głównie jednak projektował dla rodziny ***Lubomirskich*** (m.in. pałace w Rzeszowie, Dąbrowie Tarnowskiej, Lubartowie, Lublinie) i innych polskich możnowładców np. *Branickich – Pałac w Białymstoku, Krasińskich, Czapskich i Radziwiłłów w Warszawie, Czartoryskich i Ostrogskich w Lublinie.* Za swoje zasługi inżynieryjne, został nobilitowany i wraz ze szlachectwem nadano mu polskie nazwisko ***G a m e r s k i .***

Tylman Gamerski zaprojektował kościół św. Anny, jako jednonawową świątynię na planie krzyża z *transeptem* tj. nawą poprzeczną, nad przecięciem których umieszczono podwyższoną kopułę, wzorowaną na kościele Piotra i Pawła w Krakowie. Ponieważ nawę otoczono sześcioma połączonymi ze sobą kaplicami, stwarza to wrażenie trzynawowej budowli. Z uwagi na niekorzystne umiejscowienie kościoła na niewielkiej działce przy wąskiej ulicy w szeregu kamienic i obok ówczesnych murów miejskich, architekt z wielkim kunsztem zastosował znaczne korekty optyczne w budowie fasady, jak uwypuklone podziały pionowe, nierównoległe pasy gzymsów i krzywizny, aby z ukośnej perspektywy wąskiej przestrzeni ulicy św. Anny, fasada kościoła wyglądała atrakcyjnie i równocześnie w zasadzie korekty były niezauważalne dla patrzących. Na dwukondygnacyjnej fasadzie z dwoma wieżami , umieszczono pośrodku nad oknem figurę Matki Boskiej z Dzieciątkiem nad którą u szczytu jest Oko Opatrzności – symbol Trójcy Świętej. W niszach znajdują się figury patronów świątyni, czyli na dole ***św. Jana Kantego i św. Bernarda z Clairvaux*** (od 1418 r. opat klasztoru Cystersów w Mogile sprawował patronat nad kościołem), na górze figury ***św. Kazimierza Jagiellończyka i św. Floriana***. Kierujący całością powstawania nowego kościoła ***ks. prof. Sebastian Jan Piskorski (1636-1707)***, zlecił prowadzenie prac budowlanych Włochowi ***Franciszkowi Solariemu***, malarskie wykonawstwo wnętrza powierzył uznanym malarzom braciom ***Karolowi i Innocentemu Monti z Włoch*** oraz ***Karolowi Dankwartowi z Nysy***. Zachwycającą rzeźbiarsko – stiukową (sztukatorską) dekorację wnętrza, wykonywał od 1695 r. ceniony rzeźbiarz ***Baltazar Fontana (1661-1733)***, wcześniej tworzący na Morawach dla biskupa ołomunieckiego Karola Liechtensteina. W czasie pobytu w Krakowie, rzeźbiarz *„przy okazji"* wykonał kilka innych prac, jak np. stiuki prezbiterium kościoła św. Andrzeja, pomieszczeń Pałacu Krzysztofory czy Kamienicy pod Gruszką. Nowy budynek kościoła został poświęcony (konsekrowany) 21.10.1703 r. przez biskupa Kazimierza Łubieńskiego. Oprócz stiukowej dekoracji ścian kościoła, wyróżniającymi się w nim dziełami B.Fontany są: po prawej stronie transeptu wspaniały monumentalny ***ołtarz-konfesja św. Jana Kantego*** z jego szczątkami - wzorowany na konfesji św. Piotra w Bazylice Watykańskiej wykonanej przez Giovanni Berniniego – oraz ***ołtarz główny*** z obrazem autorstwa ***Jerzego Siemiginowskiego-Eleutera*** malarza króla Jana III Sobieskiego, przedstawiającym ***św.Annę z Matką Bożą i Dzieciątkiem*** inaczej ***św. Annę Samotrzecią***. W lewym ramieniu transeptu jest ***kaplica Adoracji Chrystusa zdjętego z Krzyża,*** będąca ze stiukowym zespołem rzeźbiarskim swoistym arcydziełem. Znajduje się tutaj też pierwszy w Polsce ***pomnik Mikołaja Kopernika***, zaprojektowany przez ks. Sebastiana Sierakowskiego i wykonany w 1822 r. przez Jana Galii. Po prawej stronie nawy znajdują się trzy kaplice: ***św. Józefa, Niepokalanego Poczęcia NMP i św. Jana Chrzciciela*** i po lewej stronie 3 kaplice***: św. Piotra w Okowach, św. Katarzyny Aleksandryjskiej i św. Sebastiana***. W latach siedemdziesiątych XX w. utworzono ***Kaplicę Matki Bożej Ostrobramskiej***. Warto też wspomnieć o barokowych kunsztownie wykonanych ***organach*** z lat 20. XVIII w. mających, jako jedyne w Krakowie, autentyczne brzmienie z czasów Jana Sebastiana Bacha. W kościele często bywał duszpasterz akademicki i biskup krakowski Karol Wojtyła, który później odwiedzał go jako papież Jan Paweł II i podniósł do rangi bazyliki mniejszej. Będący jednym z najwybitniejszych przykładów polskiego baroku, kościół św. Anny w Krakowie i jego wspaniała wewnętrzna dekoracja stały się wzorem dla budowanych następnie w Polsce kościołów i wnętrz, zachwycając wiernych i licznych zwiedzających do dzisiaj swoim pięknem.

Ołtarz główny fot: Autora

fot: Autora

Konfesja św. Jana z Kęt

fot: Autora

Sklepienie z kopułą

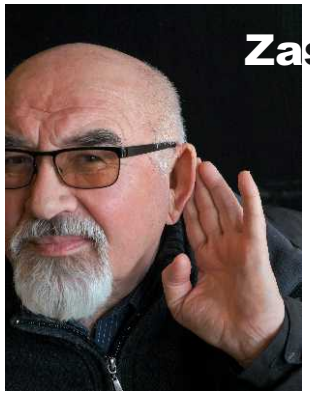

Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

Wieści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez Nadredaktora B. K.

Nasza zwisowa rodzinka powiększyła się ostatnio o osóbkę płci żeńskiej. Gratulacje dla Rodziców.

Dewiza zwisowych kelnerek:
„Nim nasz klient pomyśli, to my już wiemy co chce”

Dzięki naszemu lekarzowi z Kaszub „Nadredaktor” może od dziś spać spokojnie!

Szczególne podziękowania od Redakcji „Vis a Vis” dla Pana Jacka Kleyffa za nieodpłatne udostępnienie nam swych tekstów.

Wszystkim darczyńcom – SERDECZNE BÓG ZAPŁAĆ!

„Nocna zmiano” popraw się! Docierają do nas skargi! Oj! Chyba będziemy musieli przyjść na zwisową wywiadówkę!

Zasłyszane: „Pani Madziu kiedy się Pani nie denerwuje? Kiedy Pana nie ma!

Dzięki Panu J.T. na rzeźbę Piotra spłynęła jasność!

Zwis odchyla się wyraźnie na prawo. Nawet zamek w WC umieszczono po prawej stronie.

Znany fotograf B. Z. znany z aktów, powiększył zakres swoich usług o zdjęcia bywalców w końcowym stadium życia.

Tradycyjnie w sierpniu zlatują się do Zwisu różne „zamorskie ptaki”. Witamy w „rodzinnym gnieździe”. Nabierajcie sił przed odlotem!

Bywalcom przypominamy o wcześniejsze zadbanie o „złoty kluczyk”. Zostawienie tej czynności na ostatnią chwilę kończy się zwykle mandatem Straży Miejskiej!

Wakacje i po wakacjach. Dlatego lubię urlopy we wrześniu. Wszyscy już po, a przede mną przygoda. Potem wszyscy opaleni i wypoczęci z nowymi siłami ruszymy do bojów stolikowych. Oby wystarczyło do wiosny sił i środków. AD
PS. Serdeczne ucałowania dla najmłodszej zwisanki Julii i jej szczęśliwych rodziców.

JUŻ Z NAMI:

Andrzej Warchał, Stanisław Stabro, Jan Andrzej Nowicki „Viking”, Andrzej Warzecha, Krzysztof Tyszkiewicz, Adam Ziemianin, Aleksander Rozenfeld, Wiesław Siekierski, Andrzej Sikorowski, Jacek Lubart-Krzysica, Jan Nowicki, Leszek Pizło, Jerzy Michał Czarnecki Aleksander Jasicki, H. Tomasz Kaiser, Wojciech Gawłowski, Jacek Podgórski, Kazimierz Oćwieja Magdalena Rychel, Dorota Kazimiera Zgałówna, Henryk Rafalski, Paweł Kozłowski, Bogusław Kucharek, Win, Dorota Dużyk, Mieczysława Dużyk, Marek Kawa, Wojciech Mucha, Michał Kulpa, Aurelia Mikulińska, Darek Bojda, Stanisław Franczak, Jerzy Dębina, Ewa Durda „Lubelka” , Joanna „Malgwen” Mielniczek, Witold Banach, Edward Michalik, Wiesław Jarosz, Omar Khayya, Walery Popov, Marek Studnicki, Tomek Kałuża, Kasia Hypsher, Krzysztof „Kris” Cedro, Sebastian Kudas, Woytek Woyciechowski, Zbigniew Żarow, Marek Przybyłowicz, Roman Mucha, Zofa Daszkiewicz, Bożena Boba-Dyga, Halina Pląder, Robert Czekalski, Agnieszka Stabro, Jędrzej Cyganik, Jadwiga Grabarz, Marek Wróbel, Magdalena Tuszyńska, Henryk Arendarczyk, Marzena Krzyżak, Ewa Maciejczyk, Magdarius, Maro Zender, Adam „Bobs” Marczek, Janusz Wosiek, Roman Gustaw Woźniak, J.B.W., johny porter (ona), Andrzej Dyga, Magda Marciniak, Edward Biały „Wódz”, Maciej Dudek, Tomasz Kowalczyk, Ryszard Świętek „Pikuś”, Ryszard Szociński, Anna Burns Wyller, Anna Widlarz, Ryszard Sokołowski, Marek Wróbel, Elżbieta Żurawska-Dobrowolska, Ryszard Bochenek-Dobrowolski, M, Carlie, Wojciech Pestka, Józef Bator, Renata Nalepa, Justyna Sokół, Maciej Szymczak, Pan Smth, Paweł Rzegot, Marcin Hernas, Ewald Tomon, Gina Gurgul, Miguel Cortez, Małgorzata Łempicka-Brian, Damian, Katarzyna, Alicja, Agata Marczek, Róża Dominik, Ania Karez, Julka Dyga, Renata Dubiel Czesław Robotycki, Roman Wysogląd, Iwona Siwek-Front, Danuta Mucharska, Karolina Dyga, Teresa Lange, Krzysztof J. Lesiński, Tadeusz Łukasiewicz-Tigran, Anna Witek, Pablo, Jarek Potocki, Mariola Frankiewicz, Robert Florczyk - celnik z Północy, Paulina Simlar (Rzepicha), Aleksandra Pędzisz, Magda Konopska, Iwona Chojnacka, Wiktoria Mizia, Wojciech Kwinta, Wojtek Morek, Bogdan Zimowski, Adam Kawa, Roman Kownacki, Krzysztof Janik, Wawrzyniec Sawicki, Krzysztof Miklaszewski, Zygmunt Konieczny, Konrad Pollesch, Maciej Dyląg, Jan Czopek, Leszek Długosz, Andrzej Szełęga, Krzysztof Pasierbiewicz, Alsana, Piotr Kędzierski, Piotr Błachut, Tony, Andrzej Matusiak, Adam Komorowski, Bruno, Monika Kozłowska, Dorota Czarnecka, Ryszard Rodzik, Jerzy Stasiewicz, Aleksander Szumański, Agnieszka Grochowicz, Kazimierz Machowina, Magdalena Świtek, Paweł Kozłowski Jerzy Skarżyński, Arleta Opioła, Anna Dziadkowiec, Maciej Serafin, Wojciech Firek, Andrzej Pacuła, Owca, Andrzej Banaś Tadeusz Smolicki, Wiesław Dymny, Anna Dymna, Wit Jaworski, Tadeusz Śliwiak, Magdalena Wiącek, Adam Kieniewicz, Jan Zych, Jan Wawszczyk, Antoni Wawszczyk, Marek Rosner, Jadwiga Miklaszewska, Krzysztof Litwin, Monika Dembińska, Robert Adamczak, Zbigniew Bajka, Marian Siwek , Leszek Walicki, Jerzy Harasymowicz, Marian Żyła, Marian Satała, Andrzej Komorowski, Wojciech Włodarczyk, Jarosław Włodarczyk, Kazimierz Wiśniak, Lesław Pizło, Karina Janik, Sara Yakoubi, Bronisław Chromy, Ika Broszkiewicz, Joanna Kulma, Piotr Skrzynecki, Birczanin, A. Zaleski, Urszula Nalepa, Laco Volko, Jerzy Armata, Renata Gajos-Mangold, Andrzej Głuc, Marek Michalak, Nadusia Sitarz, Angelika Solecka, Kazimierz Madej, Rafał Dominik, Joanna Łapuszek, Krystyna Styrna-Bartkowicz, Anna Szałapak Konrad Mastyło, Zbigniew Paleta, Jan Kanty Pawluśkiewicz, Leon Pawlik, Franciszek Serwatka, Piotr Szczerski, Ludwik Stomma, Wacław Krupiński, Jacek Stokłosa, Bogumił Opioła, Jacek Szmuc, Barbara Kruk - Solecka, Franciszek Muła, Ignacy Fiut, Maria Baster-Grząślewicz, Kazimierz Pastuszczak, Ela Gawin, Zbigniew Raj, Stanisław Staniewski, Tadeusz Pietuch, Andrzej Makuch, Olgierd Jędrzejczyk, Joanna Solska, Andrzej Domagalski, Leszek Kwiatkowski, Aarne Puu, Wojciech Mróz, Oleksa Zdzisława Zacharska, Jan Poprawa, Jerzy Antkowiak, Bogusław Maria Boba - Colin, Aleksander Andrijewskij, ks. Adam Boniecki, Grzegorz Tyszkiewicz, Paweł J. Rogowski, Marek Wróbel, Jerzy Piątkowski, Edmund Borzemski,Jacek Gulla, Bożena Pomian Leszczyńska, Adam Ciesielski, Marek Świerad, Ewa Celer, Wiktoria Sobczyk, Marta Śmieszek, Marek Sosenko, Zbigniew Pancer, Janusz Kaczorowski, Włodzimierz Jasiński, Jerzy Wieczorek, Natalia Pazdej, Grzegorz Kozakiewicz, Marek Lasyk, Antoni Potoczek, Jan Güntner, Marek Pacuła, Henryk Cebula, Mateusz Moczulski, Iwona Pazdej, Michał Piętniewicz, Anna Burkiewicz-Kozyra, Adela Drozdek, Adam Kozyra, Agnieszka Grochowicz, Julia Dyga, Tomasz Hołuj, Patrycja Krauze, Jacek Kleyff, Joanna Kłonowska, Ewa Skrzyszowska, Jan Trybulski, Janusz Andrzejczak, Stefan Szlachtycz, Leszek Maruta, Kazimierz Ivosse, Danuta Gaweł, Jacek Maiński, Krzysztof Janicki, Jacek Roch Przybylski.

..a Ty?..dołącz..czekamy ☺...

Gazetka Vis a Vis
Copyright reserved by Bogusław Kucharek
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów

wstępniak: Andrzej Dyga
materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Zbigniew Bajka
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Półeczka Vis á Vis,
www.zvis.pl
www.visavis.altervista.org
vis a vis